

TYGODNIK ILLUSTROWANY



N^o. 6.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 24 października 1859.
5 listopada

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Ks. Antoniewicz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. — Akademia medyko-chirurgiczna w Warszawie (z drzeworytem). — Kościół św. Michała w Lublinie (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Komunikacye. przemysł i handel. — Korrespondencya od redakcyi. — Nowy Kastor i Pollu's, albo historia o dwóch zasuszonych kawalerach na warszawskim bruku (z trzema drzeworytami). — Szachy i rebus.

Ks. Karol Antoniewicz.

Ks. Karol Antoniewicz urodził się w Galicyi, w obwodzie żółkiewskim, dnia 6 listopada 1807 roku, z rodziny zamożnej ormiańskiego pochodzenia. Osierocony po ojcu w dzieciennych latach, wzrastał pod tklivem okiem pobożnej matki, która w sercu jego zaszczerpiła głęboką wiarę. Od najmłodszego wieku odznaczał się szlachetnością i słodyczą charakteru, a zarazem zamiłowaniem nauk i niepospolitemi zdolnościami. W siedemnastym roku życia zaczął pisać, i młodociane utwory swoje tak wierszem jak prozą umieszczał w *Rozmaitościach lwowskich* (1824 roku). Wtedy to, przechadzając się zimową porą po gruzach *Wysokiego zamku* we Lwowie, znalazł w jednej jamie kilkoletniego chłopca sierotę, który zgłodniały i na pół nagi, blizkim był śmierci. Przejęty litością, okrył go własnym płaszczem i zabrał z sobą do domu. Dając mu utrzymanie i naukę, obudził w nim tak wielkie przywiązanie i wierność, że sierota ten ani na krok nie odstępował już swego dobroczyńcy, a gdzie nie mógł być z nim razem, tam stawał u drzwi na straży.

Powziąwszy myśl napisania historii narodu ormiańskiego, przepędził w tym celu lat parę u krewnych w Jassach na Wołoszczyźnie. Osiadł we Lwowie i zabrał się do tej mozolnej pracy, gdy poznał bliżej i ukochawszy cioteczną siostrę swoją, Zofię Nikorowiczównę, odznaczającą się równie wdziękami jak wysokim wykształceniem i przymiotami, poślubił ją w 24 roku życia swego. Przeniósł się wtedy do dziedzicznych dóbr Skwarzawy, w obwodzie żółkiewskim, i tu był pewny, że znajdzie szczęście i spokój. Bóg błogosławił jego doli: pięcioro drobnej dziatwy rosło zdrowo, dostatek mnożył się w domu, przy rządnej gospodarstwie. Włóścianie miłowali jak ojca, młodego dziedzica który czuł się nad nimi opiekę i wspierał ich w smutku, cho-

robie i niedostatku. Sędziwa jego matka, otoczona miłością syna, synowej i wnuczat, w tej rodzinie miała świat swój cały. Nic nie brakowało do szczęścia ziemskiego w tej ustroni wiejskiej, jakby Bożem błogosławieństwem zażegnanej. Ale krótką była ta pomyślna dola. Śmierć wydarła jedno po drugim chowającą się tak czerstwo dziatwę. Po utracie ostatniego dziecięcia — matka nie przeżyła takiego ciosu. Skonała na rękę rozpaczającego męża. Antoniewicz został sam, sędziwa jego matka osiadła w zaciszy klasztornej.

Złamany nieszczęściem, postanowił oddać się służbie

sobie tylko dzienniczek ręką ukochanej żony pisany, który, jako najdroższą pamiątkę, nosił przy sobie do śmierci.

Przyszła chwila pożegnania na zawsze rodzinnego gniazda, gdzie się urodził, gdzie wychowywał, gdzie pamięć jego przywołała mu swobodne dni młodości, gdzie tak był szczęśliwy w pożyciu małżeńskim, gdzie został ojcem milego grona dziatwy ukochanej. Modlitwą i łzami pożegnał grób żony i mogiłki dzieci. Całą noc bezsenne przechadzał się po ogrodzie. Nic rzewniejszego, jak czytać własny jego opis tej ostatniej nocy w rodzinnej wiosce.

„I coraz bardziej ciemnieć poczęło — światło w domu błyszczało przez szyby; wróciłem już późno, i w tym domu, przechodząc przez długi rząd pokojów, widziałem jakby rozwiniętą uroczemi obrazami całą przeszłość, całą młodość moją. Pomodliłem się przed obrazem ukrzyżowanego Chrystusa w domowej kapliczce, i lżej mi się zrobiło na duszy. Tak wszystko pusto i głucho było w koło: wszystkie głosy radości i żalu ucichły, wszystkie drogie osoby, których posłyszane kroki radość niegdyś przynosiły sercu, już znikły, sam zostałem ze wspomnieniem mojem, z boleścią moją, z przeszłością moją. U nóg moich leżał brytan ulubiony Zosi, nie przeczuwając, że jak stracił panią, tak wkrótce straci pana swego. On w późnych wieczorach, gdy z sąsiedztwa powracał, radosnym wyciem oznajmiał Zosi siedzącej przy robocie w późną noc przybycie moje. Biedny brytan, nie miał już komu oznajmiać przybycia mego, wkrótce nie będzie już miał i witać kogo!

„I mignął się w oczach przez szyby okna blask latarni; poznałem: to światelko wiernej klucznicy wracającej z krowiarni, jak niegdyś za czasów Zosi. I weszła do pokoju, rzuciła się do nóg moich, i łzami zalana nie mogła nic przemówić. Ścisnąłem jej rękę na ostatnie dobranoc.“

„Przesiedziałem tę noc; chciałem się modlić, chciałem usnąć, ale nie mogłem, ale nie znalazłem słów, tylko łzy! I ranek zaświtał. Nie mając dość siły aby się żegnać ze wszystkimi domownikami, wsiałem na wózek, jeszcze raz zwróciłem oczy na ten dom, pożegnałem tę wioskę, i wszystko znikło z oczu moich. Ale nic nie zginęło w sercu mojem! Żyje ta pamięć w głębi duszy, a jeśli ją poruszę, to chwilka po chwilce, uczucie po uczuciu tak żywo



Ks. KAROL ANTONIEWICZ.

Bożej i przywdziać suknie zakonne. Posag żony oddał jej rodzinie, część własnego majątku darował stryjecznemu bratu, z drugiej zapewnił przyszłość wiernym sługom, włóścianom w dobrach swoich, i hojnie wsparł ubóstwo. Z całego majątku pozostawił

powraca, jakby ten przeciąg czasu był jednym tylko snem ciężkim!“

Odwidziwszy w ubogiej celi klasztornej zamieszkałą sędziwą matkę, pożegnał ją i wzięwszy jej błogosławieństwo na resztę dni życia swego, przybył do klasztoru starowiejskiego, gdzie miał przywdziać szaty zakonne. Otworzył mu drzwi żelazne stary furtan, wysłużony wachmistrz, z porąbaną głową, a teraz biedny, klasztorny braciszek; i wszedł do tego domu Antoniewicz z nieprzełamanym ślubem służenia wiernie Bogu i bliźnim, zostawując przed progiem jego całą swą przeszłość.

Przyjęty do zakonu oo. jezuitów w końcu r. 1839, w kilka tygodni obrany *manuduktorem* czyli przewodzącą nowicyuszów, zjednał sobie ich miłość i szacunek: wszyscy kochali go jak ojca. Łagodnością, przykładem i nauką wielki wpływ umiał w zakonie tym wywierać. Dla urozmaicenia chwil wolnych od zatrudnień nowicyackich, sprowadził fortepian, składał pieśni pełne czucia, i przy towarzyszeniu jego wprowadził śpiew chóralny. Pieśni nabożne na uroczystość *Bożego Narodzenia* i *Trzech Króli*, śpiewane pierwiastkowo przez nowicyuszów w kaplicy, przy wystawionej szopce, należą do najlepszych utworów tego rodzaju, i przeszły z murów klasztornych w usta ludu. Po dwóch latach nowicyatu, złożył śluby zakonne; wtedy to, rozrządzając pozostałą część majątku swego, przyczynił się znacznie do sprowadzenia z Francji pp. Sercanek (*Soeurs du sacré coeur Jesus*) do Lwowa, a starowiejski księgozbiór ubogacił kilkaset nowymi dziełami.

Obdarzony niezrównanym wdziękiem i łatwością słowa, wkrótce zasłynął jako jeden z pierwszych tegoczesnych kaznodziei. Z krzyżem w ręku kruszył serca i umysły zarówno w pałacach możnych, jak w ubogich chatach włościan.

On pierwszy wypowiedział walkę pijaństwu w Galicyi. Ale nadszedł pamiętny rok 1846, w którym Antoniewicz w całym blasku talentu i poświęcenia zaśniał. Przez pół roku missya jego, prawdziwie apostołska, wobwodach, sandeckim, bocheńskim i tarnowskim, najzbawienniejsze wydała owoce. Zwykle ks. Antoniewicz, gdy przybył do wsi, w pierwszej lepszej chacie przybijał duży drewniany krucyfiks na ścianie, i rozpoczynał rozmowę o gospodarskich i domowych stosunkach. Zwolna zyskiwał ufność, a wtedy przechodził do nauk kościelnych. Wraz z ludem skruszonym na kolanach odmawiał ranne i wieczorne pacierze, dziatwę zaś wiejską uczył katechizmu. Z dniem każdym zwiększały się gromady ludu, pragnące słuchać słowa Bożego. Gdy siadał na wóz, by pojechać do wsi sąsiedniej, matki kładły mu nań małą dziatwę, aby przez drogę nauczyła się katechizmu.

Sława imienia jego rozeszła się między ludem szeroko. We wsi *Tropie*, nad Dunajem, w odpust zbiegła się rzesza przeszło dziesięć tysięcy wynosząca. We wsi *Wiewiórce*, gdzie ostatnią zapowiedział naukę missyjną, zebrało się więcej 12,000 ludu. Była to niedziela w późnej jesieni: lud szedł w pokorze i ze skrucą, niosąc krzyż wielki. Na miejscu wyznaczonym zakopany, wznosił się wysoko, a w tej chwili słońce z czarnej chmury ostatnim promieniem ozłociło wizerunek Zbawiciela. Ks. Antoniewicz w rzewnej i poruszającej przemowie wskazując na to godło naszej wiary, przypominał miłosierdzie Boga dla tych, którzy serdeczną pokutą staną się tego miłosierdzia godnymi. Na kolanach słuchający tłum ludu nauki natchnionego kapłana, gorącemi łzami żal i skrucę wymownie okazywał. Kiedy zszedł z ambony, gromady rzuciły mu się do nóg, błagając o błogosławieństwo jego: ledwie mógł dosiąść bryczki, aby wrócić do Tarnowa.

Ale prace te apostołskie, połączone z niewygodą i trudami, nadwątlily już stargane siły. W świeżym powietrzu Tatrów odpoczął nieco, pokrzepiony żentycą.

Pośród górali Huculów nie zaniedbywał prac apostołskich, roznosząc po ubogich chatach słowa miłości, pociechy i braterstwa.

Za przybyciem do Lwowa nowy cios go spotkał: stracił ukochaną siostrę. W roku 1848 zgromadzenie jezuitów zniesione zostało w Galicyi, a członkowie jego rozproszyli się po kraju. Równocześnie i sędziwa matka jego umarła. W roku 1849 zwidził stary Kraków, aby ukrzepić ducha przy grobach świętych patronów polskich. Dla poratowania zdrowia wyjechał do Grefenberga, i tu za jego staraniem, a pomocą Po-

laków, powstała pierwsza na Szląsku w miasteczku *Frewaldau* u stóp góry grefenberskiej, ochronka dla małych dzieci.

W niej on przepędzał najmiłsze chwile. W r. 1850, na wieść o strasliwym pożarze Krakowa, przybiegł do tej starożytnej stolicy; na zgłiszczach świątyni Pańskich wzywał lud do pokuty, zachęcał do wytrwania w nieszczęściu i ufania miłosierdziu Bożemu. Wezwany przez biskupa wrocławskiego a następnie poznańskiego, z kilką braćmi zakonu swego poszedł na nowe prace apostołskie. Zbiegał się lud gromadnie na wieść o missyi ks. Antoniewicza, który przeszedłszy Szląsk i księstwo poznańskie, gdy tam straszliwa zawitała cholera, przez dwa miesiące w pośród zarazy niósł pomoc kapłańską i krzepił zrozpaczone serca. Dnia 4 listopada 1852 r. objął wraz z towarzyszami wyznaczony sobie klasztor w Obrze. Kiedy się doń zbliżał, gdy ujrzał dzwonnice kościelne, zawołał: „O! tyle szczęścia, to chyba koniec życia!“ Było to przecucie.

W tydzień później, po kazaniu, gdy zszedł z ambony, dotknięty zarazą, padł na łożo, z którego już nie powstał. Ostatnie wyrazy jakimi pożegnał braci były: „Do widzenia w niebie“.

Umarł dnia 14 listopada 1852 r. Na wieść o jego śmierci żal powszechny rozległ się we wszystkich częściach Polski, gdzie tylko dosięgło jego słowo żywe czy pisane. Zwłoki ks. Antoniewicza bracia zakonnicy pochowali w Obrze, pod sklepionymi klasztoru; wrok później obywatele księstwa poznańskiego postawili mu w tymże kościele pomnik z popiersiem. Na tym pomniku są dwa napisy, jeden łaciński od braci zakonu, zawierający imię, nazwisko, datę urodzenia, wstąpienia do zakonu i śmierci ks. Antoniewicza; drugi polski, ułożony przez Fr. Morawskiego, brzmi następująco:

„Z krzyżem w ręku nad polskim górujący ludem,
Wsparłeś go i podniosłeś słowa twego cudem;
Krzepiłeś go w niedoli nadzieją i wiarą,
Dla niegoś żył jedynie i dlań padł ofiarą!
Dziś cię szuka w tym grobie, przez lzy widzi w niebie,
I modląc się za tobą, modli i przez ciebie“.

Ks. Antoniewicz należy niezaprzeczenie do pierwszych tegoczesnych kaznodziei i prozaików naszych. Zbratany z ludem, głównie wśród niego apostołując, potrafił najwznioślejsze prawdy z niezrównaną prostotą wydać w ojczystym języku. Złamany nieszczęściami domowemi, dźwignął się z upadku silną wiarą; poświęciwszy się na wiernego sługę ołtarza, dotrwał w tym ślubie do ostatnich chwil życia.

Czytając liczne jego pisma, czuć w każdym ustępie siłę przekonania, namaszczenie i głęboką wiarę. W wierszach i pieśniach, obok czystej pobożności, wieje szczególnie wdzięk i powab. Jak wielką miał łatwość w pisaniu prozą czy wierszem, tak szczególnie posiadał talent do improwizacji. W klasztorze starowiejskim kilka improwizacji jego przepisanych zachowano.

Kronika tygodniowa.

Naród nasz słynął z dawnych czasów z dbałości o chwałę Bożą. Żeby tego dowieść, nie potrzeba nawet udawać się do dziejów i stare wertować kroniki; trwałszymi i wymowniejszymi rysami, bo w kamieniu i cegle wykutymi, przodkowie nasi przekazali nam w pamięci owę chwalebłą staranność swoją. I obecnie nawet, chociaż Boża czeladka ochłodziła może trochę w tej cncie starodawniej pobożności i uczciwości chrześcijańskiej, nie brak jednak pobożnych fundacji, ołtarze nowe się wznoszą, dawne odświeżają, a z każdym rokiem prawie tu i owdzie stanowią kościołek, który wznosząc ku niebu skromną swoją wieżyczkę, świadczy Bogu, że na tej ziemi, tak osobliwie ongi chwałę jego poświęconej, chrześcijanie nie całkowicie jeszcze zapomnieli o nim. Czemuż więc przypisać, że składka na ufundowanie nowej kaplicy przy kościele księży karmelitów na Krakowskim przedmieściu idzie tak leniwo? Szanowni ojcowie krzątają się jak mogą i ostatni już grosz prawie wyczerpali; piękny posąg O. Sosnowskiego, przedstawiający Zbawiciela naszego w grobie złożonego, dotąd czeka na

stosowne pomieszczenie, a składka idzie tak tępo, że niewiadomo z czego dalsza budowa kaplicy prowadzi się będzie. Ze skarbonki i miejscowych źródeł zaledwie 1200 rsr. wpłynęło, a składki ogłoszone po gazetach tak mały stosunkowo okazały rezultat, że wspominać o nim nie warto.

A jednak przesłiczny mamy przykład przed oczami, jak Kraków, daleko mniejsze i uboższe od Warszawy miasto, dotknięte srogą klęską pożaru, który, jak wiadomo, zniszczył kilka najokazalszych tamże świątyni, w pobożności i dobrej woli swoich mieszkańców znalazł tyle zasobów, że już obecnie niektóre z tych świątyni stanęły w całej dawniej świetności swojej, groszowemi składkami wzniesione. Bo wielka jest siła w połączonych chęciach tysięcy, dobrą ożywionych myślą. Każdy z tamecznych mieszkańców ma zapewne dotąd w pamięci, że kiedy gruzy zasypywały jeszcze jeden z największych i najstarożytniejszych tamecznych kościołów, kiedy ani grosza jeszcze funduszu nie było na rozpoczęcie robót oczyszczenia, bo pierwszy doraźny zasiłek poszedł na chleb dla podupadłych rodzin, — w sercu jednego człowieka, w sercu kapłana, zrodziła się wielka i święta myśl dźwignięcia gmachu Bożego własnymi siłami z tej strasznej ruiny. I zgromadziwszy lud na kazanie pod gołym niebem, wpośród dymiących jeszcze niedwie gruzów zawalonego kościoła, odezwał się do serc przytomnych, skreśliwszy w wymownych słowach ten obraz upadku chwały Bożej, zatarcia dawnych pamiętek: „Do tego się odzywam, rzekł nareszcie, kto z was jest najuboższy, kto najbardziej potrzebny; niech ten Łazarz zbliży się, niech rzuci tu pierwszy grosz na odbudowanie świątyni Pańskiej, a grosz ten wdowi poszczęści się w moich rękach, posypią się za nim tysiące, pewny jestem tego. Bo jak Bóg od ubogich wiarę swoją krzewić zaczął, i nieba im bramy otworzył, tak też niech tu ubodzy dadzą z siebie przykład starszym swoim braciom, jak nam pilnie należy strzedz na tej ziemi chwały Zbawiciela naszego.“

I powłókł się do kapłana nędzny jakiś kaleka, na wpół umierający z głodu, i ofiarował na jego ręce, na intencją odbudować się mającej świątyni, grosz, który może stanowił cały jego zasób dzienny. A w parę lat, jakby czarodziejską ręką, kościół powstał z gruzów, bo składki posypały się liczne, ciągłe, nieprzerwane. Jeden dzień gonił za drugim; ciągle w ręku kapłana był tylko drobny fundusz, ale ten fundusz wystarczał na zapłacenie natychmiastowych robót, a dobrzy ludzie pilnie radzili o przyszłości, żeby nigdy tego jałmużniczego funduszu nie zabrakło. Podczas pobytu naszego w Krakowie, widzieliśmy tę z osobliwą starannością, z zachowaniem dawnych wzorów, nowo wybudowaną świątynię, modliliśmy się w niej, i w jej to murach słyszeliśmy to opowiadanie, które teraz, dla pożytku ludzi dobrej woli, co nie omieszkają zapewne i u nas o chwale Bożej radzić, umieszczamy tutaj.

Niestety! „Tygodnik Ilustrowany“ to poważna bardzo osoba; on się w drogę musi wybierać z licznym poczem drzeworytów, które trzeba podkładać, papieru, który trzeba satynować, i różnych innych tym podobnych potrzeb, zatrzymujących go dłużej aniżeli się to dla wszystkich innych pism peryodycznych dzieje, na debarkaderze pospiesznej maszyny drukarskiej. Więc ten cały worek bagażów pełny, najwięcej czuć się daje biednemu kronikarzowi tygodniowemu. Zanim on ze swojemi nowinkami pospieszy na kolej żelazną peryodyczności, już na wszystkich stacyach uprzedziły go inne pisma, które tam co dzień rozlepiają swoje nowinowe anonse. Biedaż to z tymi współzawodnikami, podążającymi na pociągach pospiesznych, których dogonić nam niepodobna. Więc jak wam powiem że obrazy z żywych osób na dobroczynność dobrze się udały, wrzuscicie tylko ramionami i zarzucicie mi, że zbyt stare odgrzebuje dzieje; bo po prawdzie obrazy te dwa tygodnie już blisko temu miały miejsce, i ani podobieństwo wyliczać wam dobrze znane już szczegóły. Recenzent znowu muzykalny zabrał mi całą rubrykę o wystąpieniu panny Zawiszanki w „Faworycie“ Donizettego, które w każdym razie pomyślnie się odbyło, chociaż może zły wybór opery, nie dość wdzięcznej dla głosów solowych, zwłaszcza na debiut, a przytém trochę także na zbyt wysoką stopę nastrojony ton dzienników zapowiadających to wystąpienie, nie dozwoliły mu odbyć się z całą świetnością jakiej się można było spodziewać. Publiczność uczęszczająca w Warszawie na opery dzieli się na znawców (tych rzeczywiście bardzo mała liczba), półznawców (tych trochę

więcej) i takich którzy wyobrażenia o muzyce nie mają, (a do tego rzędu, niestety, najwięcej spektatorów policzyć można). Owoż w istocie istnieją te trzy rzędy, ale napozór bez żadnego rozgraniczenia; na muzyce wszyscy się znają, a przynajmniej każdy pragnąłby szczerze za znawcę uchodzić. Ztąd częsta, czasem nawet niewczesna, surowość sądów; niejeden przychodzi z zamiarem z góry już powziętym uchwycenia jakiej niedokładności, żeby znaczącym gościem i szturchnięciem w bok sąsiada dowieść swojej umiejętności w wydawaniu sądów. Tym sposobem się zdarza, że najpiękniejsze nawet ustępy mijają niepostrzeżone, a najdrobniejszy błąd, uchwycony i podnoszony na miejscu, z ust do ust przebiega. Niejeden, zobaczywszy przypadkowe może skrzywienie się na twarzy sąsiada, nadaje rysom swoim wyraz lekceważący, aby dowieść że i on potrafił uchwycić lekki odcień niedokładności, która może nie istnieje. Nie stosujemy tego wyłącznie do panny Zawiszanki, ale niestety, dzieje się tak często w teatrze, i nawet nietylko na przedstawieniach oper. To jednak com powiedział nie tyczy się w żadnym razie czytelników „Tygodnika;“ wszyscy oni bowiem mają w moim rozumieniu bezwarunkowe prawo do tytułu znawców sztuk pięknych, a dowodzą tego prenumerując pismo w znacznej części tymże sztukom pięknym poświęcone. Pragnąłbym tylko, i zapewne nikt mi tego nie będzie miał za złe, żeby to znawstwo u nas o ile możliwości najbardziej się rozszerzyło.

Co też to się nie dzieje obecnie w tej naszej Warszawie. Powtarzają się dawne bohaterskie czasy, rzeczy któreśmy dotychczas mieli za bajeczne, dzieją się u nas na jawie. Pamiętacie zapewne, uczeni czytelnicy, ustęp z Eneidy, w którym Trojanie, pragnąc wprowadzić do swojego grodu olbrzymiego konia z brzuchem pełnym Greków, łamali mury forteczne, żeby temu czcigodnemu bydłciu wolne przejście uczynić. Owoż obecnie historia ta powtórzyła się słowo w słowo; ale tym razem nie dla konia mury łamano, lecz dla rzeczy najmańdrzejszych i najpożyteczniejszych, a czasem, niestety, najniedorzeczniejszych i najszkodliwszych jakie są na świecie, dla książek. To księgarnia p. S. Orgelbranda zrobiła taką inwazyję do domu dawniej Malcza, a obecnie zakupionego przez szanownego księgarza-wydawcę. Nie dziw że tyle miejsca potrzeba było, boć tam wchodziła przecież encyklopedia, któremu to wydawnictwu oddaliśmy w swoim czasie zasłużone pochwały, a taki zbiór wszystkich wiadomości i umiejętności ludzkich nie może w ładnym sklepie się pomieścić. Więc połączono dół z antraktami, i z tego wszystkiego utworzyła się bardzo piękna całość, tak iż niejeden przechodzień zatrzymuje się i pyta, czy to naprawdę księgarnia znajduje tam dla siebie pomieszczenie.

Bo dotychczas zwykliśmy widzieć tak zbyt kornie urządzone sklepy bławne, galanteryjne, bogdaj nawet korzenne; ale biedne książki mieściły się w szuflach i ciemnych nieraz kąciach, gdzie ich, jak fijołków z pod trawy, wyszukiwać trzeba było. Od pewnego czasu dopiero zaczynają one trochę więcej ukazywać się na widowni; może przekonawszy się że innym dobrze się z tém dzieje, zapragnęły korzystać ze zbawionego przykładu. Ale niestety, dotychczas widzimy żeby liczba kupców na nie powiększała się jakoś; może z czasem lepiej będzie, ale obecnie stagnacja zupełna, i to do tego stopnia, że najpokupniejsze nawet dawniej książki leniwo teraz idą. Wydawcy tracą głowę i nie wiedzą czemu to przypisać. Nam się zdaje iż w kraju naszym tak się dzisiaj znacznie pomnożyła liczba ludzi myślących, że czytających coraz jest mniej. Kto myśli, nie ma czasu czytać; pytanie tylko zachodzi o czém tak myśleć.

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu w salach reutowych koncert pana Tausiga, który się zjawił jako przednia straż zabaw zimowych tego rodzaju. Młody uczeń Liszta grał dobrze, pewności posiada wiele, mechanizm wysoko rozwinięty, ale dotychczas jeszcze koncerta nie zaaklimatyzowały się w Warszawie, bo słuchaczy znalazło się mniej niż się spodziewać było można. Za to na pierwszych przedstawieniach p. Carré cyrk był przepełniony; widocznie nie zaniedbaliśmy dawnego amatorstwa, jeszcze za czasów Renza na wysoką tu rozwiniętość stoje, i sypiemy oklaskami amazonkom, sztucznym jeźdźcom i koniom tańczącym polkę aż miło. Widać że ta tak zwana jeźdźca szkoła staje się wzorem, na który wielce zapatrują się ludzie. Jak to się zmieniają czasy: dawniej „tańczy jak niedźwiedź“ było wyraźną nagana; obecnie „tańczy

jak koń“ będzie pochwałą. Ale czemuż się tu dziwić? Nie nowa to rzecz w naszym społeczeństwie, że ci co na głowach chodzą i najrzęczniejsze wywracają koziółki, najwięcej też zyskują oklasków. W każdym razie, kiedy mamy za wiele pieniędzy, dobrze przynajmniej że się znalazł nowy sposób pozbycia się ich, inaczej nie wiedzielibyśmy doprawdy co z nimi robić. Pan Carré oszczędzi nam tego kłopotu, i przypuszczając że przez trzy miesiące pobytu w Warszawie, a podobno taki termin sobie oznaczył, będzie miał brutto zysku tylko po 4000 złp., (a pełny cyrk, tak jak to niemal przez wszystkie dni ubiegłe miało miejsce, prawie dwa razy tyle przynosi), uczyni to okrągło około 360,000 złp., co jest wcale niezłą sumką i stanowi kontrybucyą nałożoną na mieszkańców Warszawy po dwa złote od jednej osoby. Ale przynajmniej te pieniądze obrócają się w pożytek, bo przybędzie nam estetycznego wykształcenia w sztucznej końskiej jeździe i koziółkach.

Z systematu powstajemy zawsze przeciw wszelkim tego rodzaju zabawom i igrzyskom, przypominają one nam bowiem czasy upadku społeczeństw. I jest to można powiedzieć jedna z gorszych stron naszej cywilizacji. Kto nam nie wierzy w tym względzie, niech czyta prześliczny szkic J. I. Kraszewskiego z czasów pierwszych cesarów rzymskich, pod tytułem Capreä i Roma, umieszczany obecnie w felietonie Gazety Warszawskiej; tam się łatwo przekona, że skoczki, histryony i akrobaci stanowili właśnie jedną z najbardziej poszukiwanych zabaw tej starożytnej społeczności, do której zgnilizna zepsucia zaczęła się już wtedy na dobre zakradać.

Należy nam także wspomnieć o wybraniu p. Schlenkera, znanego tutaj kupca, na prezesa kolegium kościelnego gminy ewangelickiej. Wybór ten ogólne zyskał uznanie; pan Schlenker bowiem niemałe zasługi położył w świecie naszym handlowym, zwłaszcza urządzeniem dokładnym szkoły handlowej, w której corocznie wielu z tutejszej młodzieży odbiera potrzebne wykształcenie. Handel ważną jest gałęzią krajowej pomysłowości, i ci którzy usiłują podnieść go w kraju naszym i nowe dlań otworzyć drogi, dobrze się przysługują ogółowi.

A teraz mam wam donieść o jednym jeszcze fakcie, drobnym na pozór, ale ważnym w skutkach. Rzecz się tak ma. Jeden ze znanych tu ogólnie miłośników nauki i sztuki krajowej, przyzwyczajony pisać piórami stalowymi, nie mógł sobie tu na miejscu znaleźć dość dogodnych dla siebie. Wszystkie albo darły papier, albo nie do ręki mu były, co stawało się niemałą przeszkodą w jego pracach. Postanowił więc, żeby zaradzić złemu, zapisać sam pióra z zagranicy, otrzymawszy poprzednio adres jakiegoś bardzo renomowanego fabrykanta. Ale Niemcy, (jak zwykle Niemcy Polaka, który towar u nich zapisuje i płaci gotówką, biorą za milionowego grafa), zamiast obstalowanego tuzina pudełek, przysłali w jednej wielkiej pacce sto czy dwieście tuzinów, oświadczając przytém w grzecznym liście podziękowanie za opiekę nad sztuką niemiecką. Cóż było robić? Tak wielkiego zapasu odsyłać napowrót niepodobna; więc uczonego nasz ogłasza pomiędzy kolegami literatami, że ma do zbycia najpożądany dla nich towar, to jest dobre pióra po cenach fabrycznych. Na tę wieść ze wszystkich krańców Warszawy zbiegło się plemię literackie i rozebrało wnet pomiędzy siebie cały zapas. I coż się stało? Ponieważ wszyscy literaci zaczęli pisać jednymi piórami, nastąpiła pomiędzy nimi powszechna harmonia; ci którzy się spierali pomiędzy sobą, porzucili dawne niesnaski, poszły w kąć zawiści, pogodziły się pisma peryodyczne, a krytycy z krytykowanymi chodzą razem pod rękę i zapraszają się wzajem na przekąskę. Nigdy jeszcze literaci w Warszawie nie żyli pomiędzy sobą w tak dobrej komitywie; za prawdę, wróciły pomiędzy nimi arkadyjskie czasy, a wszystko to winni jesteśmy fabrykantowi niemieckiemu i jego piórom. Ba, niedość na tém; urządono tu i owdzie zebrania literackie, na których nawet stronictwa przeciwne dotąd sobie schodzą się razem i podają sobie bratnie dłonie. Za dowód służyć mogą wieczory u J. I. Kraszewskiego, tak zwane sessye w Tygodniku Ilustrowanym i inne jeszcze zebrania tygodniowe, gdzie czytania literackie i muzyka niemałą są ponętą do licznych zgromadzeń się. Daj Boże żeby tak potrwało dłużej, a w każdym razie życzymy naszemu uczoneму, żeby nowy zapas piór zrobił; ina-

czaj jakte wyjdą, literaci gotowi znowu przyjść do sporów, bo jak wiadomo niespokojny to naród.

SPRAWOZDANIE

Z POSTĘPU NAUK PRZYRODZONYCH, PRZEMYSŁU
I WYNAŁAZKÓW.

Cały świat uczone i nieuczone nawet, podziwiał kiedyś słusznie ten szczególny fakt, że nie astronom ale matematyk, nie w obserwatorium z wybornymi teleskopami i lunetami, ale w zwyczajnym gabinecie, siedząc przy stoliku i nie patrząc nawet na niebo, odkrył nieznaną dotąd planetę i wskazał astronomom, gdzie w daną chwilę powinna się znajdować; uwierzono mu, śledzono i wynaleziono rzeczywiście Neptuna, tam gdzie jego bytność p. Leverrier samym tylko rachunkiem wykrył i wskazał. Coś podobnego zdarzyło się niedawno. Field, chemik amerykański, nie wyszedłszy ze swego laboratorium, a tém bardziej nie zagłębiając się w ziemię, nie poruszając nawet jej powierzchni, odkrył niesłychanie bogatą kopalnię srebra, bo ilość tego metalu obliczył na dwa miliony tonów angielskich, to jest 4,000,000,000 funtów!!! Dotąd jednak nie znaleźli się ani kapitaliści, którzyby chcieli wziąć na spekulacyę te niewyczerpane skarby, ani nawet tak skorzy w innych rzeczach poszukiwacze złota i srebra, zabijający się nawzajem w Kalifornii i Australii o kilka bryłek drogiego kruszcu. A jednak ta odkryta przez Fielda kopalnia, przystępna jest równie Europie jak Ameryce, równie Afryce jak Azji lub Australii, a do wydobywania z niej najczystsze srebro, nie potrzeba ani oskardów, ani rydli i motyk, bo tą kopalnią jest... ocean. *Wszystko jest we wszystkiem*, powiedział uczoney Jacotot, i w zastosowaniu do chemii twierdzenie to nie jest bez zasady. Field, Malaghetti i Durocher wykazali dowodnie obecność srebra w wodzie morskiej, rozbierając ściśle chemicznie blachy miedziane, stanowiące pobicie zewnętrzne statków, które przez kilka lub kilkanaście lat odbywały żeglugę po morzach. Septimus Piesce takim samym sposobem wykazał obfitość miedzi w wodzie morskiej, i to taką, że kolor ciemno-niebieski niektórych mórz przypisuje obecności jakiegoś związku amoniakalno-miedzianego, a zieloną barwę innych mórz, chlorkowi miedzi. Z zupełną pewnością można twierdzić, że w wodach tych znajduje się i złoto, byle go poszukać chciano. Wiadomo że piaski wielu bardzo rzek okazują ślady złota. Piasek Sekwany, którego w Meudon używają na wyrób szkła, zawiera taką ilość tego najdroższego metalu, że w tyglach, w których się topi szkło z tego piasku, znajdują się często na dnie nie cząsteczki, ale spore bryłki złota. Należy mniemać że w piaskach morskich znajduje się ono także. Chemik Becher mówi w dziele *Physica subterranea*, że w roku 1669 proponował rządowi holenderskiemu, aby przedsięwziął zamienić piaski nadbrzeżne morskie w złoto, i że Stany generalne były już prawie zdecydowane przystąpić do tego dzieła. Dodajmy że niektóre ziemie, tudzież popioły pewnych roślin, zawierają w sobie złoto. Znakomity chemik Sage wykazał obecność złota w popiołach winnej latorośli, tylko trzeba by spalić ogromną ilość liści i gałęzi winnych, żeby otrzymać tyle, ile wynosi listek malarskiego złota. Powtarzamy więc, że w chemii można śmiało powiedzieć: wszystko jest we wszystkiem, idzie tylko o stosunek ilości.

Tegorazowy nasz przegląd niezmiernie nam ułatwiło doroczne posiedzenie towarzystwa angielskiego ku popieraniu nauk przyrodzonych, które się odbyło w Aberdeen, z powodu 29tej rocznicy jego istnienia. Na zagajenie posiedzenia tego zebrało się ciekawych za biletami przeszło 2600 osób, a że bilet kosztował jedną gwineę (6 rsr.), zebrano zatem pierwszego dnia zaraz przeszło 15,500 rs. Piękna to sumka, zwłaszcza jako dochód z posiedzenia czysto uczonego. Ale też tutaj można było dowiedzieć się odrazu o wszystkich nowych pomysłach i postępie w najrozmaitszych gałęziach nauk ścisłych i stosowanych, i naocznie przyglądać się otrzymanym przez nie wypadkom. Oglądano tam nieporównanej doskonałości widoki stereoskopowe *słońca, księżycy i saturna*, otrzymane za pomocą wielkiego teleskopu z zwierciadłem 14-calowem. Cudowne

muszą być widoki tych olbrzymich ciał niebieskich, z ich prawdziwą, kulistą postacią, ze wszystkimi na nich wypukłościami, górami, dolinami, kraterami i t. d. Drugą, powszechnie podziwianą nowością była fonografia, to jest przyrząd za pomocą którego wszelki dźwięk, głos ludzki, brzmienie jakiegokolwiek instrumentu, same odznaczają rysunki, figury, drgania, jakie głos w czasie wibracji tworzy, a raczej których jest rezultatem. Ten niesłychanie dowcipny, a nawet genialny wynalazek, jest owocem długoletniej pracy Leona Scott i Rudolfa König. Z niesłychanym zajęciem oglądano te obrazy akustyczne, przedstawiające sta i tysiące drgań, jakie głos ludzki lub dźwięk instrumentu i wszelkiego brzącego ciała tworzy w jednej sekundzie. Figury te otrzymują się automatycznie za pomocą przyrządu Scotta na pokładzie kopci, a następnie przenoszą się za pomocą fotografii na papier.

Chemia dostawiła tutaj także niemałej wagi okaz, szczególnie przydatny dla gospodarstwa domowego; przedstawiono bowiem ogromne wiadro i 12 butelek mleka normandzkiego, zakonserwowanego sposobem patentowanym przez towarzystwo alpejskie. Mleko to, pomimo niedogodności dalekiej podróży i dawności zakonserwowania, okazało się zupełnie świeżym i naturalnym, nie różniąc się ani kolorem, ani sma-

a mianowicie Trousseau, Pidoux, Cullerier i Tautain, wykazały nader zbawienne skutki nasienia gorczycy białej (*Sinapis alba*), używanego wewnątrz w małych ilościach, ale konsekwentnie przez długi czas, w słabościach skórnych i reumatyzmach chronicznych, opierających się wszelkiemu rodzajowi leczenia. To nam przypomina, że przed laty trzydziestą nietylko leczenie się na *wszystkie słabości*, ale nawet używanie codzienne przez osoby zupełnie zdrowe (dla zapobieżenia słabościom), po łyżeczce lub dwie gorczycy, było powszechną modą; ale jeżeli uznawanie gorczycy za lek powszechny, jak zwykle moda, przemigło, i słusznie, jak *Leroi, Morison, Revalenta* i wszystko co ma pretensją być lekarstwem uniwersalnym, to jednak nie przeszkadza, żeby gorczyca w niektórych słabościach, przez utrzymanie żołądka w normalnym stanie, znaczne podniesienie apetytu i ułatwienie trawienia, nie miała być bardzo skuteczną.

AKADEMIA

MEDYKO-CHIRURGICZNA W WARSZAWIE.

Gmach, co tak wybitnie swoją architekturą się odznacza, okazałością zaś i położeniem świetnie Krakowskie-Przedmieście zakończy, a Nowy Świat rozpo-

zakonników zabrakło, a pobożność ostygła, kościół prędko przyszedł do upadku, zwłaszcza gdy w r. 1808 zajęty był na koszary, i zgromadzenie zakonników się rozproszyło. Wrócili oni wprawdzie do niego, lecz dla wielkiego spustoszenia już utrzymać się w nim nie mogli. Po śmierci tedy dwóch ostatnich dominikanów, kościół oddany został pod administracją świeckich księży; nie na długo jednak, zdarzył się bowiem tutaj smutny wypadek samowolnej śmierci zarządzającego kapłana, skutkiem czego kościół w r. 1816 zamknięto, a zniszczone zabudowania w r. 1818 rozebrano. Pozostałe mury nabył ksiądz Stanisław Staszic, i na ich miejscu wystawił w r. 1823, podług planów budowniczego Corazego, teraźniejszy pałac, który darował b. towarzystwu przyjaciół nauk, na pomieszczenie zbiorów i biblioteki, tudzież na odbywanie w nim naukowych posiedzeń. Wtedy to, dla uczczenia pamięci wielkiego astronoma polskiego, ze składek publicznych wzniesioną została w maju 1830 r. przed pałacem statua Mikołaja Kopernika, odlana z miedzi, podług modelu sławnego Thorwaldsena. W parę lat potem zajęty był przez urząd dyrekcji loteryi, mieszczący się tutaj dopóty, dopóki z woli rządu gmach nie otrzymał obecnego przeznaczenia.

Akademia medyko-chirurgiczna, założona w roku 1857, pierwotnie pomieszczoną być miała w domu



AKADEMIA MEDYKO-CHIRURGICZNA W WARSZAWIE.

kiem, ani gęstością i tłustością od świeżo wydojonego mleka, a co większa, że otworzone po kilkumiesięcznym przechowaniu, tak jak zwykle mleko krowie, wydało we 24 godzin śmietanę, z której zrobiono wyborne masło. Mleko, śmietanę i masło posłano do Balmoral, i królowa Wiktorya, tudzież jej dostojna rodzina podziwiali ich smak wyborny.

Wydział również chemiczny przedstawił nader ważne ulepszenie w wyrobie zapalek; okazywano bowiem zapalki bez fosforu i niezawierające w składzie swym pierwiastków trujących, nie ulegające więc w żadnym razie zapaleniu od ciepła, ani mogące spowodować otrucia przypadkowego, co jedno i drugie bardzo często zdarza się ze zwyczajnymi, fosforowymi zapalkami.

Nader interesującą nowością są fotografie, otrzymywane za pomocą węgla lub pewnych farb na papierze, albo zmienione w emalię na szkle i t. p. Jest to najświeższy postęp w fotografii, ale który po doprowadzeniu go do zupełnej doskonałości, przewyższy wszystkie dotychczasowe sposoby otrzymywania fotografii na papierze, za pomocą soli srebrnych, uranowych i innych. Widzieliśmy już tym sposobem odrabiane fotografie u p. Karola Beyera.

Najnowsze spostrzeżenia lekarzy francuzkich,

czyną, ma także dawne swoje historyczne wspomnienia. Tu, według podania, stała niegdyś kaplica prawosławna, zbudowana za panowania Zygmunta III, dla pochowania jednego z posłów Borysa Godunowa, zmarłego w Warszawie. Niedługo potem, w r. 1620, były w niej złożone zwłoki dwóch braci książąt Szujskich, Wasila i Dymitra, którym król polski wspomniał wystawił nagrobek; a kiedy w r. 1637, na żądanie Aleksego Michałowicza, przeniesiono ciała ich do Moskwy, kaplicę zajęto na użytek gmachu królewskiego, co stał w tym miejscu, gdzie dziś jest pałac kaźmirowski. Taki stan opuszczenia trwał za Władysława IV i Jana Kaźmirza. Dopiero gdy na pamiątkę zwycięstwa nad Szwedami w r. 1657, król ślubował wystawić nowy przybytek Boży w Warszawie, wprowadzeni w tym celu dominikanie, ściślej reguły świętego Ludwika Bertranda, ztąd u nas obserwantami zwani, pomienioną kaplicę przywilejem wydanym w dniu 3 lipca 1668 r. otrzymali, z obowiązkiem zamienienia jej na kościół i klasztor, pod wezwaniem Najświętszej Panny Zwycięzkiej. Dominikanie, usadowiwszy się tutaj, najprzód przerobili ją na ten użytek, a następnie w różnych latach murując, wzniesli nowy, ozdobny kościół, ostatecznie po raz trzeci przebudowany i poświęcony w r. 1783. Później, kiedy

po b. wydziale lekarskim, przy ulicy Jezuickiej położonym; później jednak, z uwagi na szczupłość miejsca, która niezawodnie dałaby się uczuć przy dalszym rozwijaniu się tej instytucji, oddano na jej pomieszczenie gmach w mowie będący, który tym sposobem znowu wrócił do pierwotnego swojego naukowego przeznaczenia, i w tym też już gmachu nastąpiło uroczyste otwarcie akademii w początkach miesiąca października 1857 roku. W krótko potem wyznaczoną została znaczna summa na przeformowanie tego gmachu tak, aby on odpowiadał swemu nowemu przeznaczeniu. Jakoż urządzono zaraz słuchalnię, bibliotekę, pracownię chemiczną i farmaceutyczną, miejsca na gabinety i zbiory, a dawna, wspaniała sala posiedzeń towarzystwa, pozostała w tymże stanie pod względem struktury; upiększona tylko i stosownie ozdobiona, dziś jest aulą akademicką. Pomimo takiego przeformowania, gmach jednak na zewnątrz nie uległ zmianie: obejmuje on w sobie wszystkie zakłady połączone z nauką medycyny, oprócz tylko zakładu anatomicznego, który, dla większej dogodności, przeniesiony został do dzielnicy szpitala Dzieciątka Jezus, i tam mieści się w umyślnienaten cel urządzonym budynku.

Akademia dzieli się na dwa wydziały, to jest: nauk

lekarskich i farmaceutycznych; wydział nauk lekarskich jest pięcioletni, nauk farmaceutycznych dwuletni. Studenci tego ostatniego wydziału opłacają po rs. 15 rocznie, i po ukończeniu kursu otrzymują świadectwa kwalifikujące ich do pozyskania stopnia prowizora farmacyi; studenci zaś nauk lekarskich opłacają rocznie rs. 25, lecz od tej opłaty zwalniani być mogą, za złożeniem deklaracji odsługi rządowej przez pewien przeciąg czasu, nie przechodzący lat dwóch. Nankowe grono akademickie stanowią: prezydent, jako zwierzchnik, dwunastu profesorów, dziewięciu adjunktów, dwaj prosektorowie i dwaj preparatorowie. Z liczby profesorów wybierany jest sekretarz naukowy, a zasłużeńszym może być nadawana godność akademików. Kollegia składają się z konferencyi i z zarządu; konferencya kieruje sprawami naukowymi, zarząd interesami administracyjnymi; tu i tam przewodniczy prezydent.

Jako zadatek pomocy naukowych, akademia przy samem założeniu otrzymała na własność zbiory po dawnych instytucjach, jako to: po b. uniwersytecie bibliotekę, gabinet anatomiczny, narzędzia fizyczne i chirurgiczne; po b. szkole farmaceutycznej gabinet chemii, farmacyi, mineralogii i zielnik. Prócz tego wzbogaca się ona nieustannie kosztownymi nabytkami, sprowadzanymi po większej części z zagranicy.

Dziś już trzy kursa lekarskie są w zupełnem rozwinięciu, a zatem w ciągu lat niespełna trzech wyjdzie pierwszy szereg lekarzy wykształconych staraniem tej nowopowstałej w mieście naszym instytucyi, mogącej niezawodnie znakomity wpływ wyrzucić na dobro kraju naszego.

KOŚCIÓŁ Ś. MICHAŁA W LUBLINIE.

Wprawdzie starożytna świątynia, której wizerunek i opis przedstawiamy, już nie istnieje, tém większy atoli, sądzimy, jest powód aby o niej pamięć zachować. Była to niegdyś kollegiata pod wezwaniem św. Michała archanioła, chociaż zwykle zwano ją starą farą. Przeszło przez pięć wieków należała ona do najzdobniejszych gmachów Lublina; czas niejaki służyła nawet za katedrę dla diecezji lubelskiej, a dopiero kiedy przez wiek zniszczona tak podupadła, iż zawaleniem się groziła, rozebrano ją do szczytu w r. 1856.

Kościół ten wystawiony był pierwotnie przez Leszka Czarnego w r. 1282, na zawdzięczenie Bogu i św. Archaniołowi za zwycięstwo odniesione nad Litwą i Jadźwingami. Podanie miejscowe i dawne kroniki utrzymują, iż na tém miejscu był las, w którym Leszek dniem przed ową pamiętną bitwą rozłożywszy obóz, sam pod wielkim dębem zasnął. Wtém we śnie pokazuje mu się św. Michał i objawia przyszłą pomyślność oręża, dodaje odwagi, a na dowód opieki miecz przy nim zostawia. Szczególne to zwiastowanie, udzielone rycerstwu przez księcia, najlepszy wywarło skutek i sprawdziło się zupełnie. Więc na pamiątkę w miejscu gdzie stał ów dąb, Leszek Czarny stawia kościół, a pień drzewa każe w fundamenta wmurować. Jakoż w rzeczy samej przy rozbieraniu murów tego gmachu znaleziono pod nawą wielkiego ołtarza pień dębowy, starannie cegłą wokół obmurowany, którego część znaczną znakomity nasz pisarz J. I. Kraszewski w zbiorach swoich starożytności posiada.

Była to budowla wielce pod względem kształtu charakterystyczna. Główną jej osobliwość stanowiła bardzo wysoka wieża, przy nadzwyczaj krótkiej a szerokiej nawie i bardzo stromym dachu części kapłańskiej. Wieża ta była murowana z cegły szlifowanej, z pyszną potrójną kopułą, co nad wszystkimi innymi i nad całym panowała miastem. Przynieć kościół, w stylu gotyckim wzniesiony, miał liczne późniejsze przybudowania i cztery kaplice w różnorodnym kształcie, które go otaczały. Wewnątrz również był osobliwy, miał bowiem nawę sklepioną nie wzdłuż, jak zwyczajnie, lecz w poprzek, co mu szczególniej nadawało postać. Wprawdzie nad częścią kapłańską sklepienie było gotyckie, ale i tu żebra rozbiegające się w promieniu nie szły

w największym niedostatku roku 1608, mając lat 57. Nagrobek stanowiła niewielka, zbrunatnego chełmskiego marmuru tablica, a na niej wyrzyty cztero-wiersz łaciński, który sobie sam nieszczęśliwy poeta za życia ułożył, a krewny jego, Sebastyan Kajek, mieszczanin lubelski, wykonał. Napis był następujący:

Epitaphium Sebastiani Acerni Sulmirensis Consul. Lubl. ad se ipsum.

Corpore dum vivo, meditabor mente sepulchrum,
Corpore dum moriar, mente superites erc,
Et licet extinguar, lumen mihi reddet Jesus.
Sic mihi mors lucrum, sic mihi vita mors est.

Cura Sebastiani Kajek
Civis Lubl.
Consanguinei defuncti.

Co tak można na polskie przetłumaczyć:

Napis nagrobny Sebastyanowi Klonowiczowi, Sulmirezykowi, rajcy lubelskiemu, samemu do siebie mówiącemu:
Gdy żyję ciałem, myślą zatapiam się [w grobie,
Gdy umrę w ciele, myślą zjednam pa- [mięć sobie,
I choć zgasnę, jednak mi Zbawca świa- [tło wróci.
Tak śmierć w zysk, a zaś życie w śmierć [mi się obróci.

Zresztą co do starożytności tego kościoła, architektura jego, skutkiem przebudowania i odnawiania w rozmaitych czasach, pierwotny swój stan musiała nieco zmienić; kościół bowiem spalił się był wraz z miastem w r. 1575, a odbudowany dopiero w r. 1610, ulegał też w późniejszych czasach częściowym pożarom i odnawianiom. Wieża, nadwątlona starością, także parę razy była odbudowywana; w ostatnich zaś czasach, kiedy szczyt jej spiczasty widocznie nachylał się, przerażeni sąsiedni mieszkańcy sami wyjednali u rządu rozkaz jej rozebrania, zwłaszcza gdy i cały gmach, jako zbyt podupadły, ostać się już nie mógł.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MUZYKA

Panna Zawiszanka w „Faworycie.“ — Koncert p. Tausiga w salach reutowych.

Pierwsze wystąpienie dnia 30 zeszłego miesiąca panny Zawiszanki w operze „Faworycie,“ należy do rzędu faktów przyjaznych naszej sztuce. Publiczność w takim zdarzeniu idąca do teatru, zwykle obok pewnej ciekawości usłyszenia czegoś nowego, przynosi z sobą zarazem znaczną dozę pobłażania, gdyż widoczną jest rzeczą, że artysta pierwszy raz na scenę występujący, chociażby niewiedząc jak pewnym był siebie, ulega mimowolnie bojaźni i wzruszeniu z niej wypływającemu. Wzruszenie to bywa niekiedy tak silne i tak szkodliwie na system nerwowy debutanta działające, iż głos w piersi tłumi, wszelkie ruchy gry

sceniczną paraliżuje. Tylko potężna zarozumiałość, lub zupełna nieznajomość artystycznej odpowiedzialności, osłania w części występującego przed owymi srogimi skutkami wewnętrznej obawy. Zresztą debutanci w operach, najczęściej o śpiewie tylko myślą, poświęcając inne warunki sceniczne jego wyłącznie dokładności. „Co to szkodzi, mawiają, że nie umiem chodzić po scenie, że nie wiem co rękami robić, jak co powiedzieć? Bylebym tylko dobrze śpiewał, byle ta arya się udała, byle górne H lub C wyszło gładko i bez przypadku z piersi, a wszystko będzie jaknajlepiej; śpiew to grunt, nie dbam o resztę.“ I w tém się ogromnie mylą. Ci co tak myślą, nie posiadają iskierki nawet z tego świętego ognia, rozpło-



KOŚCIÓŁ Św. MICHAŁA W LUBLINIE.

prosto, ale esowato się gięły. Nawa nie miała kruzganków, a ponieważ była zbyt wysoka, mieściła więc w sobie dwa jeden nad drugim chóry, dolny przeznaczony dla publiczności, górny zaś na organy, których głos wybornie ztamtąd się rozchodził.

Ołtarze, obrazy i sprzęty kościelne ani sztuką, ani starożytnością się nie odznaczały. Nagrobków tu było dosyć, lecz te za XV wiek nie sięgały.

Pomiędzy niemi najgodniejszy wspomnienia był w tym kościele nagrobek Sebastjana Klonowicza, jednego z najcelniejszych poetów polskich XVI wieku, który był radcą miejskim lubelskim i wójtem w Psarach, lecz że pisał przeciw jezuitom i miał niegodziwą żonę, umarł w tutejszym szpitalu publicznym

mieniającego całą duszę prawdziwego artysty. Patrzymy na pierwsze w roli Leonory wystąpienie panny Zawiszanki: czyż nie widzimy, że obok dokładności śpiewu, reszty warunków sceniczności dopełniła z taką wprawą a inteligencją prawdziwie ukształconej artystki, że najchłodniejszych, najwięcej wymagających w tym względzie zadowolili zupełnie. Ale znać że nim do tego doszła, nim stała się panią akcyi dramatycznej, niemało studyów odbyła, niemało pracy poświęciła. Kto się czego nie uczy, umieć tego nie może: jest to prawda stara jak świat, a jednakże przez młodych aspirantów do opery zwykle przepominana.

Jako śpiewaczka, p. Zawiszanka pięknocią swego głosu sięgającego od niskich, kontr-altowych tonów, aż do górnego H sopranowego, tudzież umiejętnym sposobem jego użycia, dokładnością frazowania, czystością intonacji, przekonała wszystkich, iż jest śpiewaczką mogącą stać się ozdobą sceny naszej. Głębokie uczucie, cechujące jedynie prawdziwe organizacje artystyczne, ożywiało i rozplomiętało jej śpiew, nadając mu życie i urok niepośledni. Koloratury zaiste nie posiada, ale w operach *serio*, do jakich talent jej będzie najstosowniejszy, rzadko kiedy kompozytorowie używają takowej; zresztą panna Zawiszanka jest młodą, chętną jak się zdaje do pracy, więc nabyć jej jeszcze może.

Duet w akcie pierwszym łączy w trzecim, tak pod względem wokalnym jako i gry scenicznej, wybornie debutantka wykonała. W akcie czwartym, gdyby tylko artysta z nią występujący zreczniej ją wspierał, byłaby niesłychane na publiczności wrażenie sprawiła, tyle było prawdy, uczucia rozlanego w każdym tej wspaniałej opery ustępie.

Z tej pierwszej próby, śmiało przepowiadamy p. Zawiszance świetną przyszłość; widzimy bowiem w niej talent prawdziwy, talent, który przy sprzyjających okolicznościach rozwinie się z chlubą dla niej, z pożytkiem dla sceny krajowej.

O innych artystach występujących w „Faworycie“, z wyjątkiem tylko p. Millera, który swą rolę dobrze oddał, nic na ten raz nie powiemy; śpiew nie zastąpi wszystkiego, a tam gdzie brak dramatycznych studyów, tylko bezowocne wysilenia są do zanotowania. Niewdzięczne to zadanie dla sprawozdawcy wytykać błędy, gdy ci przeciwko którym są wymierzone puszczają je mimo uszu, gdy jedynym ich usiłowaniem wypiewać dobrze swą rolę. Cóż więc z tego wypływa? Oto wprawdzie zyskują chwilowy poklask, lecz ten nie zasłoni ich od ciężkich win jakich się dopuszczają, z zarozumiałości względem sztuki dramatycznej, w obliczu światłych spektatorów.

Przejdźmy lepiej na inne pole spostrzeżeń artystycznych: oto koncert młodego Tausiga, dany zeszłej niedzieli w salach reutowych, nas przyzywa. Chcecie wiedzieć, szanowni czytelnicy, jaki był los jego? dodomysłacie się zapewne: smutny, aż strach pomyśleć!

Fortepianiście temu talentu odmówić nie można, to jest mechanizmu raczej; gra ogromnie, silnie i z nadzwyczajną biegłością. Lecz pomimo pochwał jakie mu się udało zebrać za granicą, na które od pewnego czasu staliśmy się nieczuli i niedowierzający, wiele mu jeszcze jako skończonemu wirtuozowi brakuje. W sposobie wykonywania przez niego utworów Liszta, jest rzeczywiście dosyć efektu; Tausig jest jego uczniem, więc mniej więcej dokładnie je oddaje; ale z Szopenem naszym rzecz się ma zupełnie przeciwnie. Porywanie się w tak młodym wieku na te czarowne, poetyczne i pełne rzewności wielkiego mistrza pomysły, dowodzi tylko fałszywego apetytu, jakiemu ogromny zastęp młodzieży płci obojgę zdawna w muzyce ulega. Więc też ballada, mazurek i walc tego nieśmiertelnego kompozytora, smutnie i blade w opustoszałej sali z pod palców koncertanta się rozlegały.

KOMMUNIKACJE, PRZEMYSŁ I HANDEL.

Stara lecz bezzasadna maksyma, iż Polska powinna być krajem wyłącznie rolniczym, króluje dotąd w umysłach większości, gromadząc obok siebie liczną falangę przedawnionych wyobrażeń, przesądów i uprzedzeń, tamujących wszelki postęp i ruch w dziedzinie przemysłu i handlu, którym przecież narody zachodnie całą swą zawdzięczają potęgę. Zaprzeczenie temu sofizmatowi powinno pozostać na długo jeszcze punktem wyjścia prac ekonomistów naszych, gdyż tym sposobem

tylko przyczynić się mogą do zniesienia błędnych wyobrażeń powszechności.

Rozumiemy bardzo dobrze, iż przemysł polski inne ma cele i kierunki niż zagraniczny, rozumiemy że handel nasz w wyjątkowym znajduje się położeniu; ale nie możemy doprawdy pojąć, dlaczego nie powinien przerabiać swych płodów naturalnych i ciągnąć z tego korzyści, dlaczego handel, tak wewnętrzny jak i zewnętrzny, nie ma dojść do rozwoju, jaki mu sięz położenia i stosunków europejskich należy.

Przemysł więc i handel, rozwinięte w kierunku naturalnym i na stopę oznaczoną ścisłym poznanem danych, uważamy za jedyną dźwignię zdolną wyruszyć z opośledzonego stanowiska bogactwo narodowe i zapewnić mu odpowiedni rozwój. Dla tej dźwigni należy tylko wynaleźć odpowiedni punkt oparcia, a jest nim pojęcie własnego dobra, zrozumienie stosunków i celów do jakich kierować się powinniśmy.

Dobre i liczne komunikacje są pierwszym krokiem na drodze postępu i nieodzownym warunkiem rozwoju handlowego; pomiędzy zaś drogami oplatającymi najdalsze kraje zakątki, toczą się, na podobieństwo wielkich arteryj, drogi żelazne. One to skupiają najdzielniej wszelki ruch transportowy, a wpływ ich na rozwój budowy dróg szosowych i bocznych nie ulega żadnej wątpliwości.

Zupełny brak szczegółowych w tym względzie wykazów, nie pozwala nam poprzeć powyższego twierdzenia liczbami; według przypuszczalnego jednak stosunku, liczba wysypanych dróg, w związku z linią kolei warszawsko-wiedeńskiej, co najmniej o $\frac{2}{3}$ od czasu zbudowania tej ostatniej wzrosła.

Widoczniejszemi daleko staną się te wypadki, gdy linia kolei warszawsko-wiedeńskiej przedłuży się na północ, jako ciąg drogi petersburgsko-warszawskiej, i skoro jednym ramieniem przetnie urodzajne i przemysłowe ziemie od Łowicza do Bydgoszczy. Nie mogąc i nie chcąc wybiegać po za granice tego co jest już faktem spełnionym, nawiasem tylko wspominamy o projektach przeciągnięcia linii drogi żelaznej od Warszawy przez Lublin do Kijowa, tudzież o planie przygotowanym przez inżyniera p. Marczewskiego, kolei łączącej dwa górnicze okręgi, bogate w odmienne a uzupełniające się wzajem płody naturalne.

Zwracając się do rzeczy bezpośrednio dotyczących przemysłu i handlu krajowego, wypada nam zanotować tu kilka faktów, podanych już wprawdzie różnemi czasy do wiadomości powszechniej, lecz nigdzie dotąd razem nie zestawionych. Towarzystwo drogi warszawsko-wiedeńskiej, po wykończeniu projektów sytuacyjnych linii od Łowicza do Bydgoszczy, przystąpiło do nabycia gruntów pod budowę drogi pomienionej służyć mających. W tym celu pp. Rosenbaum, dyrektor drogi, jako głównie kierujący jej budową, i Hilke, kommissarz ekonomiczny, zjechali do Łowicza, dla zakupu posiadłości nad rzeką Bzurą, którą ta nowa gałąź kolei żelaznej przekraczać będzie. W miejscu tym wystawionym zostanie most systemu kratowego. Most ten, w budowie którego, obok względów trwałości i tanioci, miano także na uwadze i ozdobę miasta Łowicza, będzie na mniejszą skalę powtórzeniem mostu stałego na Wiśle pod Warszawą.

Ten ostatni, łączący gród nasz z przeciwległym wybrzeżem Pragi, zostanie tak urządzonym, iż w razie potrzeby przerznie go środkiem podwójna droga szynowa, dla połączenia dwóch dworców warszawsko-wiedeńskiej i petersburgskiej kolei. Zostawiamy sobie na później obszerniejsze o tym przedmiocie pomówienie, z dołączeniem objaśniających rysunków.

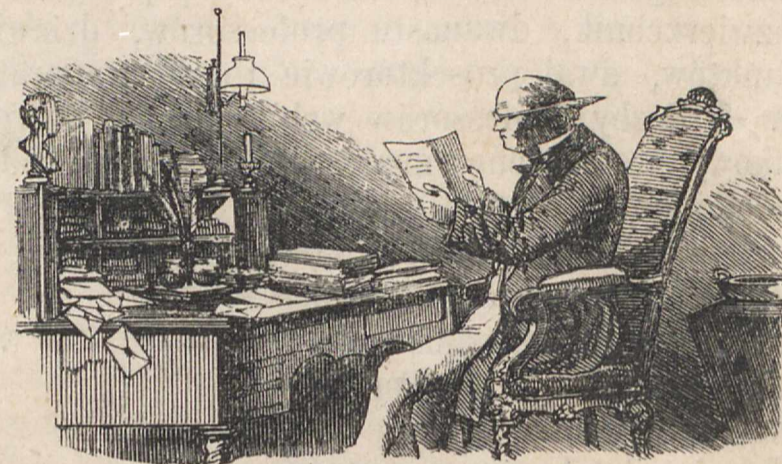
Budowa drogi petersburgskiej, po wykończeniu planu sytuacyjnego, postępuje jaknajspieszniej. Część jej z Petersburga do Dynaburga została już ukończoną, a przestrzeń z Dynaburga do Wilna pod względem robót ziemnych blizką jest ukończenia.

W zeszłym miesiącu na Pradze, nieopodal od kościoła parafialnego, przystąpiono do splantowania placu pod budowę przyszłego dworca kolei warszawsko-petersburgskiej, a roboty ziemne z przyszlą wiosną rozpoczęte zostaną.

Obecnie na całej linii, pod przewodnictwem przedsiębiorcy p. Mikołaja Skwarcowa, pracuje około 15,000 ludzi przy samych grabarskich robotach. Oglądaliśmy także w fabryce p. Bobrownickiego na Solcu 60 sztuk wagonów do wozienia ziemi, kamieni, i t. p. przedmiotów przy budowie tejże kolei; siedmdziesiąt zaś, do których dorobiono okucie, już zostały na linię wyprawione.

Wszystko to wróży nam szybkie i pomyślne ukończenie dróg tyle ważnych dla naszego kraju. Warszawa bezpośrednio na tém skorzysta, zdwojony bowiem ruch handlowy i pasażerski, niosąc w jej mury zamobność, musi się przyczynić do podniesienia i wzrostu miasta.

Na ten raz zatrzymujemy się tutaj; powrócimy jednak niejednokrotnie jeszcze do tego przedmiotu, tak ważnego dla przyszłości polskiego przemysłu i handlu.



Panu Wł. S. w Warszawie. Na zarzut pański, jakoby rozwiązanie zadania szachowego Nro 3 nie było zadowalającym, odpowiadamy że gdyby lafer biały poszedł z E4 na C6, w takim razie lafer czarny zabrałby drugiego lafra białego (A3), i mat nietylko w drugim posunięciu nie miałby miejsca, ale nawet partya stałaby się wątpliwą. Zadanie więc jest dobre, za co zresztą zaręcza samo nazwisko znakomitego szachisty warszawskiego, który je nam udzielił (J.W. R. R. S. Petrow).

Panu FF. w Warszawie. Z dwóch nadesłanych rebusów jeden wkrótce zamieszczonym będzie, drugi zaś nie jest zadany wedle prawideł

Panu Ad. Borucie w Warszawie. Rebus będzie użyty, o artykule upraszamy.

PP. Fantazjusowi i Brzozie. Szczupły dział poświęcony w piśmie naszym poezji, nie pozwala na umieszczenie nadesłanych wierszy.

P. J. C. w Krakowie. Rysunek redakcyja z wdzięcznością odebrała i nie omieszka przesłać odbitki.

P. L. C. w Pinczowie. Balladę pańską redakcyja odebrała, lecz dla wielu powodów drukować jej nie może. Artykuły (byle nie zbyt obszerne), zamawiamy sobie do przejrzania.

P. Ostoi. Prace przyrządzone z wdzięcznością redakcyja przyjmie, byle tylko rozmiarami swemi nie przechodziły zakresu naszego pisma. Artykuł o architekturze, umieszczony w Nrze 4 Tygodnika, jak wszystkie stałe w nim rubryki, skreślony został przez człowieka specjalnego.

P. J. Kal. w Częstochowie. W rozwiązaniu pańskim ostatniej szarady konikowej zmieniony jest porządek 6 i 7 wiersza, co pochodzi zapewne z pomyłki w przepisaniu i nie pozbawia pana prawa do nagrody, jako pierwszemu, co z prowincyi nadesłał rozwiązanie.

P. E. Z. w Lublinie. Wierszyk pański „Koń“ wkrótce ukaże się w kolumnach Tygodnika.

P. Lusz. z Kaliskiej Woli. Na zapytanie rebusem uczynione o przyczynę spóźnionego nadsyłania naszego pisma, odpowiedzieć tylko możemy, iż to nie pochodzi z winy redakcyi, która każdy nowy numer Tygodnika najregularniej co sobota rano na pocztę odsyła.

NOWY KASTOR I POLLUKS,

albo

HISTORIA O DWÓCH ZASUSZONYCH KAWALERACH NA WARSZAWSKIM BRUKU.

(Opowiadanie Cześnikiewicza.)

I.

Że człowiek doszukujący się w sobie wszystkich potęg duszy, serca i ciała, aby je rozwinięciem zamienić na wielką postać, bywa na świecie często bohaterem, a prawie zawsze jest bohaterem książkowego dramatu życia, nie w tém dziwnego.

Ale człowiek bogato uposażony od Boga darami natury, a wypierający się powoli jednej po drugiej władzy duszy, zachceń młodzieńczych, ścieśniający co chwila pole swojej działalności, a przytém wszystkiem, choćby najuczciwszym, żeby wyszedł na bohatera powieściowego, to rzecz niesłychana!

A ja właśnie chcę wam opowiedzieć historią, na tle prawdziwych wypadków osnutą, która będzie miała bohaterami *zera*, a jednakże przeczytacie ją z ciekawością.

Na Mazowszu, w pobliżu Czerska, mieszkał szlachcic herbu Cholewa, ósmy w imieniu swoim dziedzie wioseczki, która pomimo rozradzania się Chole-

witów, z łaski Opatrzności zawsze trzymała się w jednym rodzie. Ale też znowu pan Kacper przesadził co prawda; łatwiej było utrzymać się przy wiosce jednemu z trojga, ale kiedy zbierało się czternaścioro, pan Kacper Cholewita zobaczył się tak ubogim jak sikora. Jeszcze tam było jako tako przy urodzajnym roku, ale na przypadek suszy lub zbytcej mokradli, to po dopełnieniu zasiewów ledwie zostało co sprzedać na podatki; resztę zabierała spiżarnia domowa, a dzieci były zdrowe i miały apetyt przewyborny.

Powiadają że bywa zawsze błogosławieństwo Boże w domu, gdzie wiele dzieci. Tutaj przecież, gdyby nie gospodarność żony, która na obszernym ogrodzie siała lnu obfitość, a w płótno domorodne stroiła dzieci, na kupny drelich byłoby nie starczyło. A kiedy przyszedł czas edukowania dzieci, pan Kacper wziął się za głowę z rozpacz, bo nie widział sposobu pomnożenia do tyła intraty, iżby na guwernera wystarczyło. Przecież jakoś Pan Bóg przyszedł w pomoc: rok był głodny, panu Kacprowi osobliwie dopisało proso, które zasiał na rudunku; wziął za to jałowe ziarno 5000 złotych, i zaraz 3 odłożył na guwernera. Sąsiedzi poradzili człowieka, wcale uczciwego i zdolnego, który chociaż po francuzku mówił bardzo mało, po niemiecku trochę, ale klasyczne nauki posiadał, zwłaszcza łacinę na Alwarze gruntowaną, a historią studiował bez ustanku, przychodząc do coraz bogatszych wiadomości i zdrowego sądu na tém polu.

Matka nadrastające dzieci wyuczyła czytać, trochę pisać i rachować. Guwerner, zwłaszcza najstarszego Ignasia, zastał nieźle przygotowanym do rozpoczęcia regularnej nauki. Miał on nazwisko niemieckie Semmelmann, ale trzech jego dziadów rodziło się w Polsce, brali jezuicką edukację, byli już katolikami; ztąd charakter guwernera Cholewitów był czysto polski i działa mu się krzywda tą końcówką teutońską, co widząc pan Kacper, zaraz go pokochał i przetłumaczył na polski język, mianując Bułkiewiczem. A Bułkiewicz z niemieckiego swego pochodzenia zachował jedno tylko dobre, to jest pracowitość wytrwałą. Kiedy się też zabrał do edukowania Cholewitów drobnych, zaczęli robić bajeczne postępy w naukach i moralności zarazem. Dziwnym sposobem umiał on wlewać maksyminy poczciwe w uczniów swoich. Zabawiał dzieci w chwilach wolnych od nauki opowiadaniem o bohaterach świata, o wielkich cnotach mężów starożytnych. Gdy wykładał grammatykę, na przykłady brał zawsze zdania zawierające w sobie wielkie myśli; na wzorach kalligraficznych figurowały wielkie wypadki, lub znakomite w historii imiona. Tak więc po kropelce co chwila wnikała moc dziwna w chłopięta; murowały się charaktery, mocniła się prawość i ambicya szlachetna. A że ojciec był ubogim, a dziatwę czekało pracowite życie, umiał kochany Bułkiewicz taką wpoić skromność i pogardę zbytku, a takie zamiłowanie do pracy, że chłopięta nawet chwile zabawy poświęcały użytecznej pracy. Dołożywszy do tego kazania ojcowskie o oszczędności, o potrzebie rachowania na samych siebie i wspomaganie rodziców w starości, młoda natura koniecznie ułożyła się musiała do pewnych form, zakreślić sobie rozwijania się granice.

Po trzech latach pracy, guwerner zawiadomił ojca, że nad Ignasiem nie może dalej pracować z korzyścią, a chłopak zdolny, obiecuje tak wiele, że niepodobna trzymać go dłużej w domu, trzeba pomyśleć o ulokowaniu tej nadziei rodziców w szkołach publicznych.

Znowu jakoś kartofle dopisały, a były w cenie. Pan Kacper tedy powiózł chłopca do Radomia, tam ulokował u biednej wdowy krewniaczki, która żyła z utrzymywania studentów na stancyi, a ułożywszy się po familijnemu na leguminy i warzywa, jakoś małym kosztem ułatwił chłopcu edukację w szkołach publicznych.

Ignas, oszczędzając sukienek i obuwia, mało tracił czasu na zabawy swawolne z kolegami; siedział nad książką, pamięć miał wyborną, sprawował się spokojnie i uważnie w klassach. Zaraz tedy w parę miesięcy zagasił dawniejszego primusa i zasiadł na czele klasy, jako klejnot najosobliwszy. Jako primus, taki miał darszczególny przewodniczenia młodzieży, że całej klasy zaufanie posiadał, a najkapryśniejszych profesorów zdobył sobie życzliwość.

Na każde ferye przywoził pierwszą nagrodę, przez wszystkie pięć lat pobytu w szkołach był primusem; aż zjechał na ostatnie ferye z patentem, w którym wszystkie stopnie były celujące, sprawowanie najwzo-

rowsze. Ten patent miał Ignasiowi być kluczem dokaryery na świecie, jaką tylko sobie wybierze.

Kochany Bułkiewicz edukował wtedy piątego już z kolei chłopaka przybywającego do szkolnego stolika. Zdumiony bogactwem światła Ignasiowego, kilka dni nawet wzbraniał się usta otworzyć, gdy go pan Kacper zapytywał co by miał robić ze skończonym chłopakiem. Po wielu nareszcie rozmyślach stanęło na tém, że Ignas pójdzie na urzędnika. Zaczęły się tedy kłopoty około wyprawy familijnego klejnotu. Matka sprawiła tuzin koszul z domowego płótna, dodając sześć perkalowych półkoszulków z zakładami, własną ręką uszytych; ojciec sprowadził krawców Żydów bardzo reputowanych z Warki, którzy odszyli garderobę sukieną, obrachowaną na dwuletnią trwałość; szewc dzierżawiący sad owocowy zrobił butów trzy pary, wcale zgrabnych, chociaż do przezuwania, bo nie miał kopyt na jedną nogę; a gdy wypełnił się nowy i obszerniejszy od studenckiego kuferek, gdy zajechała przede dwór kamieniarka wyładowana na trzy dni obrokiem i na wikt podróżny prowiantem, zaczęło się na ganku pożegnanie uroczyste, ze łzami matki i uściskami całego tuzina rodzeństwa. Kochany Bułkiewicz miał także łzy w oczach, na ustach przestrogi ostatnie i cudowną sentencją z Seneki, a w rękę trzymał maleńki pakiecik, który wsunął Ignasiowi w kieszeń, gdy go żegnał ostatni a bardzo serdecznie.

Nareszcie Ignas przeżegnał się krzyżem świętym, wskoczył na brykę i ruszył ku Warszawie, owemu grodowi bajecznej piękności, którego nie znał, a słuchał o nim cudowne opowiadania od dzieciństwa.

Plan wyprawy jego był taki. W Warszawie cioteczny brat pani Kacprowej urzędował w linii skarbowej, posiadając stopień dość znaczny, a przypuszczalnie i wpływy niemałe. Do tego więc wuja dostawszy list rekomendacyjny, a dla wujenki korzec jabłek zimowych i trzygarncową faskę masła, zgłosił się miał za przyjazdem do Warszawy i prosić o protekcję do umieszczenia na aplikacyi.

Pan radzca prawny, ów wuj będący jedynym portem nadziei Ignasia, był żonaty, dietny, a przytém zapracowany, suchy jak pergamin, pedant, zimny jak marmur.

Zadrżał Ignas, gdy stanął przed nim i zobaczył twarz żółtą, sękatą łysinę, nos spiczasty, zatabaczony i rękę bębniącą po tabakierce, a usta chude, ściągnięte tak szczelnie, że zaledwie bledziuchną rysowały się szparką. Wujenka za to ustroiła uśmiechem szerokie, amarantowe lica, zbliżyła się do chłopca, pocałowała go w czoło życzliwie i przemówiła za nim do męża z całą przychylnością. Pan radzca, nie mający nigdy zwyczaju zabierania głosu bez namysłu głębokiego, mierzył chłopaka bystrym okiem, bębnił w tabakierkę, aż po kwadransie wewnętrznego zamknięcia się przemówił:

— Kwalifikacje jakie?

Ignas miał w rękę trąbkę papierów starannie opakowaną, a trąbka owa zamykała patent z radomskiego gimnazjum, metrykę urodzenia, świadectwo szczepionej ospy i pozwolenie rodzicielskie do wybrania sobie jakiej chce karyery na świecie.

Pan radzca, przeczytawszy patent od deski do deski, westchnął i zadzwonił. Weszła służąca pokojówka.

— Przyniesiesz mi arkusz stempłowanego papieru o dwóch oczach, za trzy złote groszy dziewięć.

To mówiąc dobył z sakiewki pieniądze, podał służącej, a potem wstawszy od biurka pokazał chłopakowi arkusz zwyczajnego papieru i rzekł:

— Napisz brulion prośby do jw. dyrektora komisji rządowej przychodów i skarbu, prosząc o przyjęcie na aplikację i oznaczenie wydziału w którym masz pracować.

Chłopak usiadł, i wedle wszelkich prawideł wskazanych w szkole, napisał podanie krótkie, treściwe, pełne uszanowania. Gdy radzca wziął do ręki i przeczytał podanie owo, aż uśmiechnął się lekko, tak był zadowolonym z zachowania wszelkich formalności.

— Bardzo dobrze!

I skinął głową, a wujenka dobrodziejka uśmiechnęła się, bo dawno nie widziała męża w tak wybornym humorze. Bo i z własnej kieszeni na stempel wyłożył, i mówił bardzo wiele, czego nie miał zwyczaju, chyba przy wiście wieczorem, gdy łajac przyszło gracza robiącego baki.

Zdarzyło się jakoś że w dniu tym była sessya, a radzca, rzadko protegujący, znalazł dyrektorów usposo-

bionych dla siebie łaskawie. Zaledwie podanie przeprowadzone przez dziennik, poszło zaraz z aneksami na sessya. Ignas tego samego dnia został mianowany aplikantem, z przeznaczeniem do wydziału dóbr i lasów. Nie dosyć na tych pomyslnościach: p. radzca ofiarował mu nadto w domu swoim stancyą na dwa tygodnie, a obiad ciągły, za korrepetycje dawane Stasiowi, synkowi swojemu najmłodszemu.

Trzeba wiedzieć że Ignas, oprócz macierzystej wyprawy, dostał jeszcze sub secreto z oszczędności matczynych złp. czterysta na nieprzewidziane wypadki, ojciec zaś dał mu na czas aplikacyi fundusz, wynoszący tysiąc złotych. Na panicza bardzo to mało, ale pracowity Ignas był jednym z kolosalnych bogaczy pomiędzy aplikantami komisji skarbu. Pakiecik od Bułkiewicza zamykał sześć kołnierzyków i czarną chustkę mantynową na szyję, oraz dwa fulary do nosa.

Przy tym samym stoliku gdzie go posadzono, pracował od dwóch miesięcy pierwój przyjęty na aplikacją Wincenty Perła, chłopak w wieku Ignacego, a dziwnym zrządzeniem Opatrzności tak samo pracowity i pilny, prymus w każdej klassie i wszystkich pierwszych nagród posiadacz; ta tylko zachodziła pomiędzy nimi małoznaczna różnica, że Wincenty Perła był synem kapitana od weteranów, ubożego także, ale mniej dietnego człowieka, bo tylko sześciorgiem obdarzonego przez Opatrzność. Pan kapitan był żywy, energiczny, chłopaków trzymał w militarnej karności, zaganiał do nauki, nie obiecując żadnej protekcji na świecie, bo mieszkał w Płocku, a w Warszawie niko go z krewnych nie posiadał. Gdy Wincenty skończył szkoły, daleko skromniejszą dostał wyprawę; tylko że krawcy gubernialnej stolicy lepszym krojem i jakoś bardziej świecąc ustroił chłopaka. Ojciec z oszczędności zebrał na zapomogę dwieście talarów, odwiózł do Warszawy, kazał napisać podanie, osobistą zaś wyjednawszy sobie audyencyą u dyrektora głównego, taką zalecił syna perorą:

— Jw. panie! Mam lat sześćdziesiąt, ran niezagojonych dwie z pod Sierra Morena, z pod Wagram, Lipska, Montereau, Waterloo dziewięć, krzyżów dwa, dzieci sześć, pensyi cztery tysiące i kwatere. Wychowałem chłopaka jak mogłem najlepiej; karny, pracowity, skończył wzorowo gimnazjum w Płocku. Przedstawiam go jw. panu z prozbą o przyjęcie na aplikację. Nietylko on pracować musi na siebie, ale jeszcze pomagać z czasem rodzinie. Oto i wszystko co jw. panu miałem powiedzieć. Szanuję drogi czas tak wysokiego w kraju urzędnika, a liczę na łaskawe względy dla żołnierskiego dziecka.

Ta przemowa okazała się bardzo skuteczną. Pan dyrektor zamianował chłopaka natychmiast i przeznaczył do wydziału dóbr i lasów, dał naukę moralną chłopakowi i rozkazał co tydzień zdawać sobie o nim raporta.

Zeszli się tedy u jednego stolika, z dwóch stron kraju przeciwnych, młokosy; każdy był ozdobą swojego gimnazjum, każdy rachować miał na swoje siły jedynie. Zrobiła się tedy szybko dobra znajomość, znalazła dobra sympatya, pomoc wzajemna, a nareszcie uplanowali mieszkać razem, wspólnym kosztem, oszczędzać i dźwigać się ku górze, przy pomocy Bożej.

Kiedy Ignasiowi ekspirowała wujowska kwatere, a nadchodził nowy kwartał, dali sobie chłopaki parol na Starém mieście na umówioną godzinę i szukać zaczęli mieszkania. A że idą pomiędzy ludzi, trzeba nam odmalować powierzchowne ich kształty, bo i te są między ludźmi paszportem.

Ignacy był miernego wzrostu, potulny, łagodny, ze spojrzeniem słodkiem, żywym rumieńcem, jasnymi włosami. Wincenty wyrosły, smukły, żywy w ruchach, ze spojrzeniem bystrym i imponującym, włosem czarnym, cerą śniadą. Wincenty wyglądał na protektora, Ignacy na protegowanego, chociaż miał przyodziewek na dłużej i o dziesięć rubli więcej w kieszeni.

Osobliwszą mają sympatją aplikanci młodzi do Starego miasta. Ile też to wyszło wielkich dostojenstw i reputacyj dzisiejszych z poddaszy Starego miasta! Tutaj jakoś tanio i poczciwie, jak Bóg przykazał. Argonautowie nasi, przeszedłszy rynek, Gołębią, Krzywe koło, informowani przez stróżów i przekupki w sieniach kwatrujące, zaszli nareszcie na Kanonię, gdzie im wskazano wdowę emerytkę, mającą pokoiik z komórką do wynajęcia na poddaszu. Kwatere u wdow nie nie pozostawiała do życzenia, bo była świeżo malowana w niebieskie pasy na tle żółtym, miała czy

